

## Dług wdzięczności

Lidia Czech, Katowice

Piszę, by spłacić dług wdzięczności nade wszystko Bogu Miłosiernemu, a także i Kunegundzie Siwiec. Piszę, by zaświadczyć z potrzeby serca o łasce miejsca i spotkaniu. Dziś wiem, że z łaski Bożej znalazłam się na Siwcówce. Przyjechałam z małym synem w latach 70-tych do letniskowego przysiółka na wakacyjny odpoczynek. Jeździłam tam przez kilka lat latem i zimą, poznałam gospodarzy całej osady. Czułam się tam bardzo dobrze, z czasem nawet rodzinnie. Mieszkałam z synkiem w domu Siwców, do Sióstr zachodziłam po obiadowe posiłki, czasem do innych gospodarzy. Wśród poznawanych historii rodzin ze szczególnym szacunkiem mówiono o „Kundusi”, osobie niezwykle pobożnej i oddanej Panu Bogu. Przechodząc bardzo często koło domu księdza kapelana, który stał na mojej drodze do domostwa gospodarzy, spoglądałam na okno pokoju, w którym żyła Kunegunda również z jakimś wewnętrznym skłonem. Kiedy przyszedł czas, że poznałam bliżej Panią Franję (siostrę ks. Bartkowskiego), a także księdza kapelana jeszcze bardziej przyciągało mnie to okno. To był klimat do tego, co miałam tam doświadczyć i co wyryło pieczęć na następne lata życia, aż do tej pory.

Zakładając rodzinę opuściłam rodzinny Kraków, wszystkie środowiska, a także te duchowe duszpasterstwo, z którym byłam bardzo mocno związana. Nowe środowisko katowickie, nieznane, nowe obowiązki rodzinne wystudziły życie religijne. Zaczęłam być tam „poprawną, niedzielną” katoliczką, trochę zagubioną, z nostalgią „dawnych, krakowskich czasów”. Nie porywał mnie ani świat, ani Bóg. Taka przyjechałam na Siwcówkę.

Ani lektura (nie miałam zresztą na nią czasu przy małym dziecku), ani rozmowy nie sprawiły tego, że pewnego popołudnia, patrząc w pokój przez okno na przeciwległe wzgórze (dziś Wzgórze Miłosierdzia), zaczęłam się modlić z całą, jak potrafiłam, żarliwością. Odprawiałam w myśli drogę krzyżową. Dlaczego właśnie ją? Dziś wiem – to była łaska tego miejsca, miejsca Bożego Miłosiernego działania. Coś we mnie wtedy pękło. Pozornie nic się nie zmieniło, rodzinne życie toczyło się dalej, ale ja byłam już inna. To „dotknięcie” wyzwoliło przysypane pragnienie Boga, pragnienie na co dzień. Dziś wiem, że był to dar z „Kundusinego” orędownictwa. Ale był też ciąg dalszy. Pamiętam to wydarzenie bardzo mocno podczas letniego pobytu (prawdopodobnie w r. 1976). Kiedy stanęłam na progu kuchni Sióstr, podając menażki, by otrzymać obiad, do kuchni weszła starszka Siostra, której dotąd nie widziałam. Spojrzała na mnie i wyciągając z fartucha małą, szarą książeczkę powiedziała: „masz dziecko i nigdy o tym nie zapomnij”. Wzięłam obiad, podziękowałam i wróciłam do domu gospodarzy. Dopiero wieczorem mogłam spokojnie sięgnąć po prezent. Tym prezentem była książeczka z nabożeństwem do Miłosierdzia Bożego i krótką informacją o s. Faustynie i przekazach Jezusa do niej i do świata. Tych kilka stron czytałam z wypiekami na twarzy i biciem serca. Było to tak silne doznanie, że nie mogłam doczekać się, kiedy pojedę do Krakowa, by poszukać (!) w Łagiewnikach ulicy Wroniej i stanąć przed Obrazem Jezusa Miłosiernego. To było następne „dotknięcie”, które otworzyło nową drogę spotkania z Bogiem, osobistą i wspólnotową, parafialną, na kolejne lata życia.

Dlaczego dowiedziałam się o Bożym Miłosierdziu na Siwcówce, o Łagiewnikach, Obrazie Pana Jezusa Miłosiernego, s. Faustynie? (N.B. przed takim Obrazem małym, umieszczonym w bocznym ołtarzu u św. Anny w Krakowie, modliłam się przez wiele lat, jeszcze przed wyjazdem do Katowic, nie znając genezy Jego pochodzenia). Dlaczego właśnie tam, w tym małym przysiółku wiejskim, a nie w Krakowie dotknęła mnie łaska. Odpowiedź jest w słowach Pana Jezusa: „tu wybrałem miejsce mojego spoczynku i stąd szerzyć będę miłosierdzie na świat cały”, wypowiedzianych do Kunegundy Siwiec, której orędownictwu i ja zostałam poddana, bez jakiegokolwiek osobistej przyczyny, by po latach odkryć Źródło, Dawcę i Pośrednika. Niech więc Bóg będzie uwielbiony w swoich świętych, swoich

wybranych, w tym szczególnym miejscu.

P.S. Przy okazji tego świadectwa, czuję potrzebę wyrażenia kilku zdań o Księdzu Kapelanie Bronisławie Bartkowskim. Robił na mnie wrażenie kapłana niezwykle głębokiego, może nawet ascetycznego. Emanowała z niego powaga wiary, wręcz świętość posługi kapłańskiej. Może na zewnątrz nie był „wylewny”, nie koncentrował uwagi na sobie, nie zdobywał dusz jakąkolwiek kokieterią, wręcz znikął. Służył z oddaniem. Był narzędziem Boga, nie tylko wobec Kunegundy Siwiec, ale wobec wielu, do których i ja się zaliczam. Podczas rozmowy serdeczny, ale i powściągliwy. Jasno określał prawdę. Myślę, że był duchowym ojcem tej osady, wrażliwym na troski i cierpienia mieszkańców. Nie narzucał się nikomu, choć nosił w sercu ich problemy i zapewne gorąco wstawiał się do Pana Boga. Właśnie tak go odbierałam, przebywając na Siwcówce. Nosił w sobie tajemnicę Kunegundy Siwiec, tę tajemnicę działania Bożego Ducha, który wieje kędy chce i który przerzucił go z warmińskiej ziemi do beskidzkiej wioski, by powierzyć mu prowadzenie Swojego dzieła – daru orędzia Miłosierdzia Boga wobec człowieka.